ROK DRUGI.

№ 21.

Warszawa

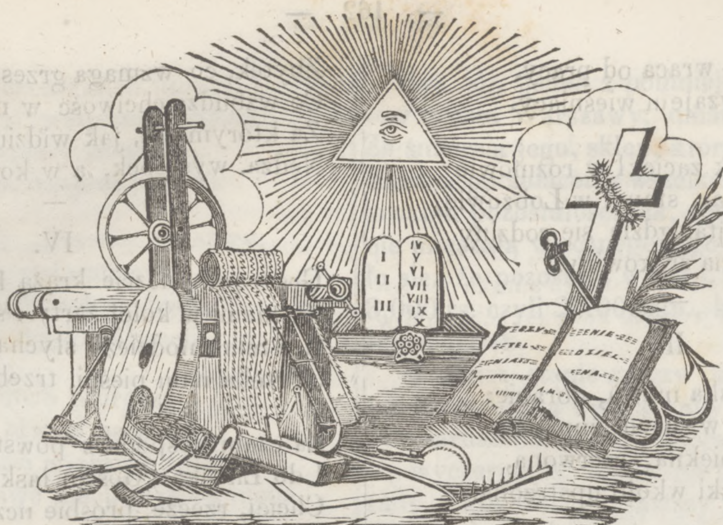
Dnia 12 (24) maja

1857.

Niedziela

Między Oktawą

Wniebowstąpienia.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zajuż prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaś ci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie zawierzaj skłonności twojéj, która dziś jest taką, a wprędce zmieni się na inną. (O naśl. Chr. K. 3. R. 31.)

Lirnik w podróży. (1)

(Obacz Nr. 17 Czytelni).

—

I.

Z poprzedniéj mojéj powieści wiecie,
Że stary Lirnik, to ludu dziecię
Był zacnym człekiem, co w poniewierce
Zachował proste, szlachetne serce.

Wiecie, że krzyżem obwiódłszy czoło,
W podróż się ową wybrał wesoło,
Że będąc wolnym od wszelkiéj troski,
Wyruszył żwawo z rodzinnéj wioski.

Poza wesołą wioską *Rudawą*
Puścił się małą drożką na prawo,
I dnia trzeciego domierzał celu,
Co u podnóża kres miał *Wawelu*.

Ale w téj drodze zwalniał swe kroki,
By wzrok cudnemi pieścić widoki,
A godne dziwu te okolice,
Co okrążyły wiankiem stolicę.

—

II.

Słońce zachodząc, z za ciemnéj chmury
Rzucało blaski złota, purpury,
Ztąd gród, mogiły, zamek na górze
Jaśniały w złocie, albo purpurze.

A więc ku miastu podążył skoréj,
Wzniosła zaś piękność coraz się mnoży,
Bo kraj w nią wszędzie równie bogaty:
Z strony południa widne Karpaty;

Piętrzą się wzniosłe góry na górach,
A ich wierzchołki giną aż w chmurach;
Całość oblana purpurą zorzy,
Uroczy widok zdaleka tworzy.

Z paszy podąża owiec gromadka,
Tu znów od siana spieszy czeladka,

(1) Podróż tu opisana, odbytą została w r. 1824 i 1825.

Każdy już z pola wraca od pracy,
A idąc, gwarzą wzajem wieśniacy.

Z niemi się Lirnik zaciekł w rozmowie
Tak, że nie wiedząc, stanął w Łobzowie,
W domostwie wójta, gdzie się rodziny
Zeszły sąsiadów na zrękowiny.

—

III.

Tu już przedmiejska mowa, ubranie:
Każdy gospodarz w sutym żupanie,
Na szyi chustka piękna, czerwona,
W rożne kwiateczki wkoło upstrzona.

I z kobiet każda strojna, w kaftanie,
Z pod niego błyszczy gorset na stanie,
Z drogiej materyi, w złociste kwiaty,
Takiż na nodze trzewik bogaty.

Chustka na głowie zgrabnie związana,
W różne desenie powyszywana;
Młodzież oboja hoża, nadobna,
W ubraniu swojem rownież ozdobna.

Szyje się dziewcząt koralmi płonią,
A tak ich dużo, że szyję słonią,
Długie znów wstęgi lśnią u warkoczy,
A ogniem błyszczą czarne ich oczy.

Krasnym był chłopcem syn wójta młody,
Ale kraśniejsze dziewy jagody;
W czasie wieczerzy, jak zwyczaj każe,
Młodzi siedzieli przy sobie w parze.

Choć luda było niemałe grono,
Na pierwszem miejscu gościa sadzono,
Przed nim miód, wino, placki makowe.
By siwą starca uczcić tem głowę.

Pomimo, że był celem téj części,
Niemało w sercu swem czuł boleści;
Bolał go zbytek w wieśniaczych chatach,
W jadle, napojach, bogatych szatach.

I gdzieżeś, dumał, mierności złota!
Z którą mieszkały poczciwość, cnota?
Zbytek cię wygnał z dworów i chatek,
Zbytek, co zniszczył dawny dostatek.

Zbytek, co wzmaga grzeszne w nas żądze,
Co wzbudza chciwość w nas na pieniądze,
Za którym idą, jak widzim co dnia:
Nędza, występek, a w końcu zbrodnia!...

—

IV.

Gęste przy uczcie krążą kielichy,
Za niemi w kolej żarty i śmiechy,
A wtem młodzieży słychać okrzyki:
„Trzeba nam pieśni, trzeba muzyki.“

Za czem gospodarz powstaje zławy,
I do Lirnika „Gościu łaskawy!
Chciéj, rzecze, prośbie uczynić zadość,
I pomnóż pieśnią godową radość.“

Z ciężkiéj się starzec ocknął zadumy,
A wzrokiem mierząc zebrane tłumy,
„Pieśni, rzekł, chcecie, pieśni wołacie,
Więc ją zaśpiewam, kiedy żądacie.“

I wziąwszy lirę starą do ręki,
Dobył z niéj naprzód niepewne dźwięki,
Potem uderzył silniéj w jéj strony
I tak zaśpiewał, jakby natchniony:

Pomiędzy wami, z memi pieśniami
Stanąłem Lirnik ubogi;
Wy tacy możni, jakby wielmożni
Mnieście przyjęli w swe progi.

Jest u was wiara, gościnność stara,
To wam po ojcach zostało,
Ale ten zbytek, to wasz nabytek,
On zgubi duszę i ciało.

Kosztowne szaty lub sprzęt bogaty
I to zapewne coś znaczy,
Lecz nie dość na tém, by być bogatym,
Gdy się o reszcie zabaczy.

Czy w umysł młody miłości, zgody
Siejecie ziarno po ziarnie?
Boć nad kęs chleba, coś więcéj trzeba,
Aby nie żyło się marnie.

Pieśń swą skończywszy, wyszedł z ukłonem,
Zdrowej nauki darząc ich plonem,
A wszyscy, w miejscu tak, jak siedzieli,
Wszyscy zostali, jak oniemieli.

Niejeden w ciężkich myślach utonął,
Niejeden westchnął, wstydem zapłonął,
A potem naraz wszyscy powstali,
Co było w sercach, wzajem poznali.

Więc wykrzyknęli: „Prawdę ma stary,
Gdy po nas takiéj żąda ofiary,
A my jak ślepi w domach siedzieli,
Ażeśmy zwolna w zbytki zabrnęli.

I on dopiero, jak duch proroczy
Na jasne światło otwarł nam oczy;
Więc się nam bracia poprawić trzeba,
W czem nas łaskawe niech wesprą nieba.

I tak jak byli wszyscy za stołem,
Do wspólnéj prośby uklękli społem,
I pieśń pokorna, wstrząsnęła ściany:
„Boże w dobroci swéj nieprzebrany!“ (1)

Pani i Sługa.

—

W małym drewnianym domku, przy ulicy Solnéj w Warszawie, szczupłą pod strychem izdebkę zajmowała przed niewielu laty, uboga, w podeszłym już wieku wdowa, nazwiskiem Salecka. Stara jéj z lepszych czasów sługa, dziś towarzyszka wspólnéj pracy i niedoli, imieniem Marcyanna, jednego prawie wieku ze swoją panią, dzieliła z nią to biedne schronienie, wraz z dwunastoletnią swą siostrzenicą Zosią.

Bieda tu, jak to mówią, wyglądała z każdego kąta, a na domiar tego, stara i schorowana Salecka, leżała już w łóżku od miesiąca; poczciwa tylko Marcyanna, któréj jeszcze jakkolwiek pomimo wieku i dokuczliwéj nędzy, siły starczyły, pracowała, zarobkowała jak mogła, aby sobie i Zosi, a przede wszystkiem dobréj pani, dostarczyć jakiego takiego posiłku.

Ale nie tak tu bywało dawniéj. Trzy lata temu, a pani Salecka miała się wcale nieźle; wystarczało i na porządne mieszkanko, i na wygodne choć skromne życie, które prowadziła już w stanie owdowiałym od lat kilkunastu.

(1) Jestto pierwszy wiersz jednéj z dawnych kościelnych pieśni, tak zwanych *przygodnych*, zawierającéj akt skruchy.

Mąż jéj, jeden z pomniejszych niegdyś kupców miasta Warszawy, umarł bardzo wcześnie. Ze śmiercią jego, sklep, który posiadał, wyprzedano, a po spłaceniu wszelkich długów, i uregulowaniu pozostałości tak, aby żadna zła pamięć nie mieszała wiecznego jego spoczynku, okazało się, że pozostała wdowa, zostaje posiadaczką 3,000 rs. czyli 20,000 złp., które mają stanowić jéj majątek.

W takim stanie rzeczy trzeba było myśleć, jak zarządzić tą kwotą, aby umieć z niéj żyć, bez naruszenia całości, która inaczéj, prędkoby się wyczerpnęła. Różne na to wdowie dawano rady, z których przyjąwszy jednę, kupiła za posiadany kapitał listów zastawnych, postanawiając sobie z procentu, jaki te przynosić będą w kwocie 800 złp. rocznie, urządzić przy pomocy swéj pracy, przyzwoite utrzymanie.

I tak się też stało. Piętnaście lat przeżyła tym sposobem spokojnie, jak gdyby pod skrzydłem anioła stróża; a choć sama nieraz ściśle się musiała rachować z szczupłemi swemi dochodami, niejedna przecież biedniejsza od niej wdowa i sierota, znalazły w niéj dobroczynną swą opiekunkę.

Marcyanna też ze swéj strony wiernie naśladowała cnoty swéj pani, a kilkonastoletnia jéj szczera i gorliwa służba, tak silném uczuciem związała obie, że znikł tam prawie zwykły stosunek sługi do pani, a natomiast stanęła prawdziwa, serdeczna przyjaźń, którą sobie do śmierci dochować postanowiły. Kiedy zaś Marcyannie umarła siostra, i pozostawiła sierotą maleńką Zosię, pani Salecka nietylko pozwoliła zabrać ją do siebie na wychowanie, ale nadto, kiedy dziecina wyrastała na rozumną panienkę, sama w wolnych chwilach zaczęła się zajmować kształceniem jéj umysłu i serca.

Tak upływały dni, tygodnie i lata, a Zosia coraz więcéj w pięknych przymiotach i nauce postępowała. Pani Salecka widząc tyle dobrego w dziewczynce, pokochała ją czule; a oceniając zdolności, jakie się w niéj pojawiały, przemyśliwała nad tem, jakby można je rozwinąć należycie, i dać Zosi edukacyą, jakiéj okazuje się godną?

Myśl ta niepokoiła ją ciągle, bo mały fundusz zaledwie wystarczał na utrzymanie ich trojga. Zwierzyła się wreszcie z tém jednéj ze swoich znajomych, a ta poradziła, aby zamiast trzymać w papierach, które przynoszą tylko cztery od sta, postarała się Salecka umieścić sumkę gdzie w pe-

wnych rękach na większy procent; a choćby jak mówiła, dano jej tylko pięć od sta, to już od kapitału 20000, jaki posiada, będzie różnicy 200 złp. rocznie, które mogą przyjść znacznie w pomoc tyle upragnionej edukacyi Zosi.

Projekt ten wydał się wybornym, chwyciła go się więc opiekunka Zosi, i niedługo sumka jéj została umieszczoną na jednym z większych domów miasta Warszawy, pod znacznie nawet korzystniejszemi warunkami, jakie jéj przyjaciołka przedstawiała.

Ale w wypadku tym Bóg widać chciał doświadczyć prawego serca dobréj wdowy i poczciwéj sługi jéj; skazał je na próbę, aby zniosłszy ją wytrwale i z chrześciańskiem poddaniem, tem milszemi stały się dla Niego.

Długi bowiem tego domu, na którym całe mienie Saleckiéj zostało umieszczonem, przenosiły jego wartość, o czem ona powierzając swą sumkę w obce ręce, nie pomyślała się przekonać, a może i w dobréj swéj wierze nie przypuszczała, aby byli ludzie tyle źli, iżby zdolni byli skrzywdzić biedną wdowę i zostawić ją na starość bez kawałka chleba.

Kiedy więc w krótkim czasie wystawiono dom obdłużony na sprzedaż, zaledwie połowa wierzycieli została zaspokojoną, a nieszczęśliwa Salecka z boleścią serca przekonała się, że swój kapitał ma uważać za stracony.

Oj! smutnaż to wtedy była dola biednéj kobiety; widziała ona nietylko wszystkie swe zamiary względem ukochanéj wychowanki spełzłe na niczem, ale przeczuwała obok tego przyszłość wszystkich trojga ciężką i opłakaną. Nie upadła jednak pod brzemieniem téj troski.

Odtąd zaczęło się ich życie w ciągłéj pracy, i ustawicznem troskaniu się o jutro, aż w końcu z chorobą pani Saleckiéj wkradła się do nich nędza, jaką na początku przedstawiliśmy.

Wezwany do choréj lekarz oświadczył, że staruszce potrzebny jest do zdrowia tylko dłuższy, jakiego dotąd używała, spoczynek i posilniejsze pokarmy. Marcyanna wtedy nie mogąc podołać swą pracą, spieniężała na ten cel niektóre z domowych sprzętów, które uważała mniéj potrzebnemi, i pocieszała ciągle swą panią. Niedługo jednak, kiedy wszystkie środki ratunku zostały wyczerpnięte, a Marcyanna podwajając do pracy swe siły, nie mogła odpędzić naciskającéj ich biedy, nie wiedziała już wreszcie biedaczka, jak sobie radzić. I kiedy jednéj soboty, a było to na początku postu, zarobiła mniéj jak zwykle, przyszło jéj na myśl, czyby nie można w dniu jutrzejszym po nabożeństwie południowém, zyskać kilkanaście groszy, na rozprzedaży książeczek z *Gorzkiemi Żalami*, jak czynią chłopcy stojący z niemi po ulicach.

W takiém postanowieniu, na drugi dzień w niedzielę po południu, zaleciwszy jak zwyczajnie Zosi pilne czuwanie przy słabéj, zakupiła Marcyanna za całą posiadaną kwotę w gotowiznie, która wynosiła niespełna dwa złote, książeczek z *Rozmyślaniem Męki Pańskiéj*, i stanęła z niemi przed kościołem OO. Reformatów. Sprzedała już z nich dwie czy trzy, kiedy od strony Banku zdążało ku kościołowi dwóch terminatorów od ślusarza, mającego swój warsztat przy ulicy Elektoralnéj.

Majster tych chłopców, człowiek moralny i bogobojny, pragnął wychowywać powierzone mu na naukę dzieci przykładnie i w bojaźni bożéj. To też gdy nadeszła pierwsza niedziela postu, przywoławszy do siebie dwóch swoich terminatorów Antosia i Stasia, kazał im udać się do kościoła na *Passye*, upominając przytém, aby zastanowili się nad ważnością owego czasu.

Takie i tym podobne nasi chłopcy odebrawszy od swego majstra rady, zdążają, jak widzimy przed kościół, gdzie Marcyanna skulona i drżąca od zimna, trzyma w ręku pozostałe do rozprzedania książeczki, oczekując pobożnych przechodniów.

Staś, młodszy szedł wolno, i rozbierał w myśli każde słowo majstra, gdy przeciwnie starszy od niego Antoś zostawał się to wtyle, to wybiegał naprzód, upatrując okazyi do swych zwyczajnych figlów. Niedługo też ta mu się nadarzyła, bo ujrzawszy stojącą z *Gorzkiemi-Żalami* staruszkę, pobiegł ku niéj, a udając, że się poślizgnął i chciał niby przewrócić, wytrącił jéj z ręki wszystkie książeczki w błoto, i zaśmiał się z tego na całe gardło.

Marcyanna po tak nielitościwie wyrządzonéj sobie krzywdzie, zalała się łzami, wspomniawszy, że cały zasób pieniędzy, jaki miała w domu, wydała nadaremnie. Tymczasem nadszedł Staś, a widząc szkaradną psotę swego towarzysza i niezwykłą boleść staruszki, tknięty do żywego szlachetnem uczuciem, zbliżył się do strapionéj Marcyanny, i zażądał książeczek, które ona skwapliwie z błota obcierała, ofiarując jéj za nie trzy złote, zarobione w ciągu tygodnia z wiedzą maj-

stra, w godzinach dla siebie wolnych. A kiedy stara, chociaż uradowana z podobnego kupna jéj lichego towaru, zrobiła chłopczynie uwagę, że za wiele jéj płaci, tém bardziej, że książeczki są zbłocone, Staś z odpowiedzią łagodną, że to mu nic nie przeszkadza, bo przecież błoto nie starło w nich, jak mówił, słowa Bożego, włożył czemprędzéj w ręce staréj trzy złote, zabrał książeczki, nie śmiejąc jéj ich zostawić, aby czyn jego nie przybrał formy jałmużny, i oglądając się za Antosiem, który mu znikł po dokonanéj rozpuście, pospieszył do kościoła.

Tam z całym ludem tłumnie zgromadzonym korzył się serdecznie, śpiewał wraz z innymi pobożne pieśni, i słuchał pilnie słowa kaznodziei; a kiedy w końcu nabożeństwa, kapłan ubrany pontyfikalnie wystawił Najświętszy Sakrament i zanucił uroczystym głosem: *Wisi na krzyżu Pan Stwórca Nieba*, a wszystek lud pobożny żałośnie mu zawtórował tak, że Stasiowi zdało się, iż cała ziemia jękła na wspomnienie śmierci swego Zbawiciela; wtedy dobry nasz chłopczyna upadł z płaczem na twarz i modlił się z głębi całego serca, za biedną staruszkę, którą uważał bardzo nieszczęśliwą, skoro dla zarobienia kilku groszy, nie bała się ziębnąć może parę godzin na dworze; modlił się za rozpustnego Antosia, aby go Bóg natchnął duchem świętym i sprowadził na drogę cnoty; modlił się wreszcie sam za siebie jako sierota, i za wszystkich biednych i nieszczęśliwych, a rzewnie i gorąco.

Po skończoném nabożeństwie, powrócił Staś do domu, i z prawdziwym żalem dowiedział się, że Antoś, zamiast udać się do kościoła, poszedł na ślizgawkę, załamał się z lodem, i tem tyle się pokaleczył, że zabrano go do szpitala, o czem znajomi jego chłopcy z sąsiednich warsztatów donieśli majstrowi.

—

Opatrzność Boska czuwa nad każdym, i często drobnych bardzo napozór wypadków używa do spełnienia swych świętych zamiarów.

Takie uwagi słyszeli ludzie w lat kilka po opisanych wyżéj wypadkach, z ust majstra znajomych nam dawniéj terminatorów ślusarskich Antosia i Stasia, który zamówiwszy w Klasztorze OO. Reformatów wszelkie przygotowania do ślubu, stanął przed kościołem otoczony gromadką ciekawych, i wyglądał przyjazdu młodych narzeczonych, którymi się zajmował jak ojciec.

— Proszę pana— odezwała się wtedy jedna z jego znajomych, jaka to jest rzeczywiście historya poznania się ze swą narzeczoną pańskiego czeladnika Stanisława, którego ślub ma się tu wkrótce odbyć, bo ludzie różne rzeczy o tém rozgadują?

— Taka historya, moja pani, odpowiedział na to zagadniony, że Bóg cnotliwych, prędzéj lub później nagradza. Stara to prawda, a jednak kiedy ludziom wyraźnie wlezie w oczy, potrząsają głowami i dziwią się, jakby ujrzeli coś nowego i nadzwyczajnego. Jeśli przecież pani chcesz wiedzieć szczegółowo, jak się rzecz ma, to racz mnie posłuchać, a opowiem w krótkości, nim państwo młodzi przybędą.

— Wiadomo już pani, że pan młody, Stanisław Saławacki, którego wyglądamy, był u mnie czeladnikiem; ale trzeba jéj jeszcze wiedzieć o tém, że on odbył u mnie i termin. Całe postępowanie jego w ciągu kilka lat spędzonych w mym domu, było tak przykładne i moralne, że słusznie mogłoby być wzorem dla młodzieży. Narzeczona zaś jego, Zofia Zarzecka, piękna i dobra jak anioł, jest wychowanką niejakiéj wdowy Saleckiéj, a siostrzenicą staréj i wiernéj jéj sługi Marcyanny.

Wdowa ta miała lat parę gorzkich w swém życiu, przez które zostawała bez sposobu do utrzymania, z powodu utracenia swego kapitału przez nieszczęśliwą pożyczkę. W takim to czasie, dzisiejszy pan Stanisław, a wtedy młodziutki Stasio, okazał starej Marcyannie, pracującéj i na siebie z dziewczynką i na swą chorą panią, tu przed tym samym kościołem, tyle dobrego serca, iż ujął ją sobie nazawsze. Wkrótce potém łaska Boska, która nie opuszcza nigdy cnotliwych ludzi, zrządziła, że pani Salecka, z pomocą jednego z przyjaciół ś. p. swego męża rozpoczęła proces o swoję utraconą sumkę, i takowy wygrała; gdyż było na czém poszukiwać dłużnika, który teraz przyszedł znowu do majątku. Tym sposobem byt dobry wrócił do poczciwych kobiet, a spotkany wypadkowo Staś przez Marcyannę i poznany przez nią, musiał się przychylić do jéj usilnéj prośby i przedstawić pani Saleckiéj.

Reszta łatwa do domyślenia; poznano bliżej, oceniono i pokochano dobrego chłopca, a po kilku latach, w ciągu których się wyzwolił, ofiarowano mu rękę wychowanki Zosi, wraz z wianem na założenie warsztatu, wynoszącem 5000

złp., z zapisem reszty kapitału w summie 15000 złp. do odziedziczenia Zosi po śmierci pani Saleckiej.

Na tém skończył opowiadający, a tymczasem młoda para, któréj wyglądano, przybyła w weselnym orszaku przed kościół, i pospieszyła do ołtarza złożyć sobie wieczną przysięgę.

O Torfie i jego użytkach.

W numerze 8ym Czytelni z roku zeszłego podaną mieliście wiadomość ogólną o torfie, jako materyale opałowym, ze wskazaniem sposobu jego formacyi, oraz miejsc, w jakich się takowy tworzy — dziś zaś podamy wam wiadomość o innych jeszcze jego użytkach.

Ci z was, co mieszkają na wsi, wiedzą, że torf nietylko jest materyałem opałowym, lecz obok tego służy za doskonały nawóz, już to w stanie surowym, już też używany jako materyał na komposty.

Torf mający być użyty na nawóz, powinien być poprzednio dobrze wysuszony, raz dlatego, iżby się pozbył wszelkich szkodliwych kwasów, jakie w sobie zawiera, powtóre dlatego, że tracąc z wilgocią znaczną część swego ciężaru, staje się łatwiejszym do wywożenia na rolę i mniéj niszczy inwentarz. Tak przysposobionym torfem można nawozić każdy grunt, wyjąwszy grunta wilgotne, sapowate i gliniaste, które lepiej jest użyźniać kompostami, lub wreszcie zwyczajnym nawozem zwierzęcym. Co się zaś tyczy gruntów suchych i piaszczystych, na te znowu korzystniéj jest wywozić torf świeży, który nadając spójność roli piaszczystéj, wielki jéj pożytek przynosi, i zasila ją na czas nierównie dłuższy od nawozu zwyczajnego.

Mieszanie nawozu z torfem i formowanie kompostów jeszcze większe dać może rolnictwu korzyści, o czem późniéj obszerniéj powiemy.

Pożytki wszakże z torfu nie ograniczają się na tém — liczne badania chemiczne dokonywane z torfem, nowe jego własności odkryły, które wam podamy w krótkości.

Z artykulu o fabrykacyi gazu do oświetlania, podanym w nrze 4. Czytelni z roku bieżącego, wiecie już, iż gaz ten wydobywa się z rozmaitych ciał palnych, głównie zaś z węgli kamiennych, i że się takowy otrzymuje przez silne ogrzewanie rzeczonego węgla w naczyniach żelaznych, na ten cel urządzonych. Otóż jeżeli w miejsce węgli, naczynia te napełnimy torfem i rozpalimy je, otrzymamy z torfu trojaki przetwór: gaz, smołę i ciecz wodnistą. Stosunek zaś ilości tych przetworów zależeć będzie od sposobu, w jaki się ich dystyllacya uskuteczni. I tak jeżeli rozgrzejemy naczynie, w którém się torf znajduje aż do czerwoności lub białości, wtedy rozkład torfu odbędzie się z szybkością; w skutek czego wywiąże się wielka stosunkowo ilość gazu, mała zaś ilość smoły i części wodnistych. Gaz tym sposobem otrzymany, będzie mieszaniną wodorodu węglowego, gazu świecącego, kwasu węglowego, niedokwasu węgla i pewnéj ilości pary lotnych olejów, które za pomocą silnego ostudzenia zgęścić można. Nie będzie on zawierać w sobie, jak z powyższego składu widzimy, wiele światła, to albowiem wynosi zaledwie ⅓ część światła gazu węgli kamiennych; natomiast jako paliwo ważnym być może, gdyż przy paleniu więcéj wydaje gorąca niż gaz powyższy.

Powiedzieliśmy wyżéj, iż wysoki stopień gorąca użyty do dystyllacyi torfu, wpływa na tworzenie się większéj ilości gazów, ze szkodą płynów, wodorodu węglowego, to jest części smolnych, któreby się w innym razie utworzyły. Jeżeli przeto zadaniem naszem będzie stosunek ten zmienić, to osiągniemy go, używając przy rozpoczęciu dystyllacyi, niższego ciepła, tak przecież, iżby się części obce w torfie zawarte rozpuściły, i podwyższając go stopniowo, lecz zwolna; wtedy otrzymamy znaczniejszą ilość smoły, która obok części olejnych, zawierać będzie w sobie pewien produkt *Parafinem* zwany, z którego po jego oczyszczeniu, wyrabiają się świece wybornego gatunku.

Dla wydobycia, a raczéj oddzielenia parafinu, otrzymana smoła torfowa dystylluje się powtórnie; przy działaniu tém wydziela się pewna ilość olejnéj cieczy i parafinu, który późniéj dopiero niż ciecz olejna i przy daleko wyższem cieple się odłącza. Parafin po ostudzeniu zamienia się w twardą massę, mającą wiele jeszcze oleju, który w części wycieka sam, reszta zaś wydobywa się za pomocą prasy.

Sposób ten wszakże nie jest jeszcze dostatecznym do zupełnego oczyszczenia parafinu z części tłustych i smolnych z nim zmieszanych, i dla zupełnego uwolnienia go od takowych, uciec się

trzeba do środka chemicznego. Środkiem tym jest użycie powszechnie znanego kwasu siarczanego, który domieszany do parafinu, nietylko że niszczy w nim resztę części smolnych, lecz nadto nadaje massie piękny biały kolor.

Ciecz wodnista przy dystyllacyi torfu otrzymana, która wynosi 30 na 100 wagi jego, nie jest także straconą; ciecz ta albowiem składa się z ammoniaku, kwasu i wyskoku drzewnego, zbliżonego do spirytusu z innych produktów otrzymywanego, które znów do rozmaitych posługują użytków. A nadto w naczyniach zostaje się po dystyllacyi przy miernym ogniu wykonanéj, około 25 procent na 100 węgla, czyli około czwartéj części z ogólnéj wagi torfu, który to węgiel, czyli koks torfowy, jako niezawierający w sobie siarki, jest bardzo dobrem paliwem, mogącem zastąpić w potrzebie zwyczajny węgiel drzewny, inaczéj węglem kowalskim zwany.

Kuśnierz Warszawski.

Dnia 23 marca r. b. upłynęło lat 34, jak przed kamienicą Nr. 104 przy ulicy Piwnéj, zebrał się tłum ludu, ażeby towarzyszyć na cmentarz Powązkowski zwłokom zmarłego Aloizego Lasockiego.

Urodzony w r. 1766 w mieście Zakliczynie w Galicyi, w młodych latach przybywszy do Warszawy, tu się osiedlił, tu terminował i został majstrem kuśnierskim. W pięćdziesiątym siódmym roku zakończył życie, zostawiwszy wdowę, dwóch synów i dwie córki, którym żałobę lżejszą czyniły, powszechny szacunek dla zmarłego i zebrany liczny tłum ludu, dla oddania ostatniéj chrześciańskiéj posługi.

Postać Lasockiego była znaną całéj Warszawie; ubrany w kapotę jasno-zieloną długą, w czapkę i hajdawery karmazynowe, chodził dużo i prędkim a rzeźwym krokiem. Codziennie prawie całą Warszawę obchodził, a gdzie się tylko wszczął pożar, tam zawsze pierwszy bywał na dachu, i niezważając na własne niebezpieczeństwo, niósł dzielny ratunek. Często zanim grzechotki przeraźliwe dały hasło pożaru, zanim kościelne dzwony ponurym odgłosem zwiastując klęskę Warszawie, zawezwały pomocy mieszkańców, już Lasocki nieraz stawał się panem ognia i przygaszał pożar. Trzeba było wtedy widzieć dzielnego kuśnierza wśród kłębów dymu i słupów płomieni, wpośród deszczu iskier, po trzeszczących i walących się dachach i belkach, jak krzepka jego postać jaśniała. Bez czapki i żupana, donośnym głosem dzielny obrońca zwoływał na pomoc, z zimną krwią starego żołnierza dawał rozkazy, jak kierować sikawkami, i gdzie z węborkami skórzanemi mają stawać nadbiegli, gdzie bosakami spalony dach rozrywać. Wdzierał się pierwszy na dachy płomieniste, i wtenczas z nich tylko zstępował, gdy albo ugasił pożar, albo wyczerpawszy daremnie wszelkie możliwe sposoby ratunku, ustępował zwolna, ratując pobliższe domostwa, i energią swoją ograniczając groźny postęp ognia. I schodził z tego pobojowiska oczerniony dymem, nieraz z osmalonemi włosami, poparzony, często ranny wdziewał swoję zieloną kapotę, czapkę karmazynową, i przecisnąwszy się przez tłum ludu, co mu z uszanowaniem robił przejście, powracał strudzony do domu.

Poświęcenie się Lasockiego, i czynna pomoc udzielana przez niego wpośród klęski ognia, zwróciły uwagę władzy miejskiéj, która z kassy miasta Warszawy, przez lat przeszło dziesięć wydawała mu pensyę po złotych polskich trzydzieści miesięcznie.

Zmarł dnia 21 marca 1823, i w mogile ziemnéj na cmentarzu Powązkowskim pochowany. Krzyż drewniany, stojący dawniéj z napisem poświęconym pamięci Aloizego Lasockiego, już zniszczał i śladu po nim nie pozostało.

Dzięki Czytelni

(Artykuł nadesłany.)

Jak przyjmowaną jest Czytelnia Niedzielna nietylko po miastach, ale i przez wiejski nasz lud, może posłużyć za fakt i dowód wieś moja rodzinna Smaklice, w b. obwodzie Białostockim, dziś w gubernii Grodzieńskiéj położona.

Kiedy zeszłego lata, było to w niedzielę po południu, ekonom z polecenia dworu zachęciwszy parobków i inną czeladź dworską do zatrzymania się na jaką godzinkę z rozchodzeniem się zwyczajnem na wieś do krewnych i znajomych, i zasiadłszy pośród téj zgromadzonéj czeladzi, zaczął czytać im w głos Czytelnię Niedzielną, i kazał słuchać; po odczytaniu jednego, drugiego opowiadania, zdziwili się ci ludzie, że to prawie tak samo pięknie, jak przed południem słyszeli z ambony, pisze dla nich ta *gazeta*. Przystąpił potem ekonom do czytania z uwagą miesz-

czących się w tem piśmie *pogadanek starego rolnika.* Jakże wdzięczni, ucieszeni i zadziwieni byli, że *w gazecie* jest o Janku *Goździaku*, podobnym zupełnie z mowy i statku do Janka w ich wsi, albo Józku *Bąbale*, podobnym do ich Stefana.

W następną niedzielę z uśmiechem witała wspomniona czeladź dworska ekonoma, wchodzącego po obiedzie z pożądaną już Czytelnią.

Gdy podobnież zaraz od pierwszéj niedzieli, posłałem Czytelnię na wieś dwóm gospodyniom, umiejącym czytać, aby swym domownikom, a jeżeli się uda, i sąsiadom ją przeczytały, miały kilkunastu słuchających tego, co tak pięknie panowie piszą w Warszawie.

Już odtąd sami ci dworscy i wiejscy słuchacze, z ciekawością wyglądali co tydzień przyjścia z poczty nowej swej *gazety*, bo tak nazwali Czytelnię.

Oprócz *pogadanek starego rolnika*, słuchali z zajęciem także wielu innych w Czytelni opowiadań, tak naprzykład: *Jak uniknąć kłótni? Włościanie Złotowa, Praca wzbogaca, Kumoszki, Straganiarka, Kazimierz Wielki żebrakiem, Gawędy starego szewca Macieja, Głos z Nieba, Praca, Rady matki dla córki wychodzącéj na służbę, Pan Wojciech, Dziadek, Litość wynagrodzona, Przygoda kwestarza* i t. d.

Za nadejściem dłuższych wieczorów jesiennych i zimowych, kilku włościan i włościanek z własnéj już ochoty i własnym swym kosztem pozakupywali elementarze i rozpoczęli uczyć się czytać, prosząc to ekonoma, to gumiennego (karbowego), i innych zpomiędzy siebie już umiejących czytać, o uczenie ich czytania w wolnych od roboty chwilach. A czego się nauczyli w zimie, nie zapomną i latem, chodząc do kościoła z książkami do nabożeństwa, a popołudniu w dnie świąteczne czytając już sami Czytelnię Niedzielną.

Z rozrzewnieniem synowskiem przychodzi mi tu wspomnieć, że taki postęp i pożytek duchowy poczciwéj włości, należał do osłody ostatnich chwil, kilkoletnią chorobą złożonego, a dziś już ś. p. dziedzica (1) téj wsi, cieszącego się wpływem tyle zbawiennéj Czytelni, i jedną, jaką władał ręką, podającego ją do czytania, lub elementarz do nauki.

(1) Benedykta *Wojewódzkiego*, zmarłego w dniu 26 listopada r. z.

Oto są nazwiska tych włościan w Smaklicach, co w krótkim czasie z powodu jedynie Czytelni, już czytać nauczyli się: *Stefan Byczyński* parobek, mający lat 28, człowiek już żonaty, 2. *Franciszek Jaroć*, lat 24, parobek, 3. *Teressa Zdunianka*, mająca lat 22, 4. *Franciszka Wasieluk*, lat 13.

Stawszy się zaś wkrótce piśmiennymi, staną już niejako wyżéj od swych rówienników, którzy wszyscy to dobrze czują i okazują dążność do moralnego i ziemiańskiego, a tem samem ogólnego polepszenia bytu swego.

A ileż gdzieindziéj na szerokim obszarze kraju naszego, przybyło podobnie i jeszcze przybędzie tak widocznego pożytku z saméj już liczby nowo uczących się czytać, skutkiem zbawiennej pod każdym względem Czytelni Niedzielnéj.

E. W.

W marcu roku 1857, wieś Smaklice za Bugiem.

Uderzanie w jednę stronę dzwonu 9 razy.

Jest zwyczaj w wielu miejscach kraju naszego, mianowicie po niektórych miasteczkach i wsiach, iż przed wieczorem po przedzwonieniu na *Anioł pański*, uderzają następnie 9 razy w jednę stronę dzwonu—np. obyczaj taki wspominają w Jazgarzewie niedaleko od Gałkowa pod Warszawą.

Zwyczaj ten każdy kościelny dziadek inaczéj tłumaczy; wszyscy zaś się zgadzają, że dzwonienie to odbywa się za poległych w boju, ale gdzie?—nie objaśniają.

Świadomsi zapewniają jednozgodnie, iż zwyczaj powyższy powstał od czasów Bolesława Wstydliwego i klęsk pierwotnych przez Tatarów zadanych. Dzwonienie to smutnym swoim odgłosem ma przypominać zgon braci, a nadto dawało ono dawniéj ostrzeżenie, aby i w nocy czuwać przed napadem Tatarów, prosząc Boga o odwrócenie téj klęski od kraju.

Inni znowu podają, iż zwyczaj wspomniony ma przypominać pamiątkę śmierci królewicza Polskiego Władysława, który w wojnie z Turkami, w młodocianym wieku, pod Warną walecznie zginął dnia 10 listopada 1444 r.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 6 (18) maja 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*